

**ELIZA**

**ORZESZKOWA**

KRAMARZ

Eliza Orzeszkowa

**Kramarz**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Kramarz / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Do chłopskiej chaty sprowadzają złapanego w polu złodzieja Żyda. Złodzieja, bo skubał rosnący przy drodze groch. Okazuje się, że to stary znajomy gospodarza. Kiedyś bogaty właściciel sklepu, dziś chory i biedny kramarz — potrzebuje pomocy. Opowiadanie z mocnym przekazem na rzecz tolerancji religijnej. Orzeszkowa w serii dialogów rozprawia się z kolejnymi antysemitycznymi mitami i ukazuje człowieczeństwo obcego kulturowo człowieka. Literatura wtedy zapewne bardzo potrzebna, dziś skłania do refleksji nad trwałością krzywdzących stereotypów w czasach, gdy w Polsce Żydów praktycznie już nie ma. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

## Eliza Orzeszkowa

### Kramarz

Na szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przezroczysty, w którym wszystko przyćmionem jest, ale widzialnem. W tym powstającym zmierzchu, ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą zielenią, kwitnąca gryka mętnie bielą, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak śpiczaste kolumny, sterczały nad zmaconymi linjami zabudowań małego folwarku. Na jednym skraju nieba błędziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stanęły murem, tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy. Powietrze było ciepłe i ciche. W cierniach odzywały się przepiórki; nad gryką, zwabiony jej białością, zaczerniał czasem nietoperz i zakreśliwszy w locie szybkie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywały rżenia koni i oderwane nuty pastuszej trąbki. Zresztą, zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi też nigdzie widać, ni słyhać nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka złotych światełek, migocących wśród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu szerokich, śpiących pól, jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzby pochylały swe węzłowate i dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi; owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzby na czyste pole. Tu ostatki światła słonecznych, tułające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną pod obarczającym mu plecy tłomokiem. Ubranie miał długie, bo aż do stóp sięgające, zgniecioną czapkę z podartym daszkiem, a na nogach obuwie ciężkie, wykrzywione i białe od pyłu. W ręku trzymał kij, na którym się wspierał. Szedł bardzo powoli. Od kilku tygodni panowała w tych stronach posucha, która drogę uczyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś niosąc tłomok, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwycił kurzawę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i śpieszny szemrał i chrypiał w ciszy, głużony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesole nuty. Raz, światło zachodu, nietrwałe i blade przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białosc opłatka, zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpółotwarte i oczy utkwione w ziemi.

Staął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłomoka z pleców nie zrzucił. Stał więc zgarbiony, na kiju wsparty i tylko wzrok podniósłszy, patrzył w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerzynający go górą pas białej mgławicy. Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. Wyraźnie w gęstwinie jakiejś zaszumił cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zajęcia czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w niskiem gnieździe ptaka. Spojrzał na pole; rośna świeżość i woń były z łąnu, okrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących. Tu i owdzie, na puszystej powierzchni białeły jeszcze spóźnione kwiaty, ale długie, zwikłane łodygi, gniotąc się wzajem, snopami kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi, człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłomoka pochylił się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wołą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łąnom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

– Aj, aj! aj! och!

Były to westchnienia i wykrzyki żądy. Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie cmoknął, tłomok swój z pleców na drogę zrzucił i na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie grochu zatopił. Teraz słyhać było chrzęst odłamywanych strąków i głośnie chrumstanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na klęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieloności do ust i od ust do zieloności. Strąki grochu były całe oblane rosą i trudno byłoby

powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód czy pragnienie. Co pewna to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet pił niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nisko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i – jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili, niedaleko, bo o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilku elastycznych poskoków, klęczącego człowieka pochwycił za kołnierz ubrania. Zarazem, głos gruby, ale młody i świeży zawołał:

– A co ty tu robisz, złodzieju, rozbójniku, włóczęgo! Groch nasz depcesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby galopować, nawet pod bodźcem kija – pytanie. Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej! Kilkakrotnie zgiął się niskimi, prędkimi ukłony, ochryplym głosem i beładnie mówiąc:

– Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści! ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch, tak sobie przy drodze... taki piękny groch... ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści... czyto taka szkoda, czy co?

Niesłuchając go prawie, chłopak krzychał:

– A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może przybytek nam z tego, że **takie** złodzieje, jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. **Było** (trzeba było) jeszcze kartofli naszych nakopać? Miałbyś czym **bałabostę** w szabas potraktować. Przez was, człowiek jak pies, na polu nocować musi, aby swojej rodzonej własności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapię. Ot i złapałem. Ot i złapałem. Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie! popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzychał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochryply, cichy głos wciąż znowu odpowiadał.

– Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg – oj, sąd! ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodziło... żeby on, nu! **sto** takich pięknych synów jak panicz wyhodował.

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zginał się niskim ukłonem a krępy chłopak, w krótkiej siermiężce, ochłonął znać z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

– A to go błogosławi! – zawołał. – **Sto** synów! Piękniebym ja na tem wyszedł, gdybym miał dziewięćdziesiąt dziewięć **bratów!** No, nie durz się ty, duszo niechrześcijańska, i idź, gdzie ci każe. Nic ty u mnie swemi błogosławieństwami **nie wycyganisz!** Marsz przede mną, a ja za tobą, jak żołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! *Ein, zwei, drei*, marsz!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij swój wziął do ramienia i następował na Żyda, który z trudnością i stękając, wkładał tłomok na plecy. Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

– Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja nie mam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie robi. Ja pana **Ignac Korejbego** znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot teraz to już z pięć **latów**, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! ja jego nie boję się! on **miłosierny** człowiek!

Jednak, w drzeniu głosu i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że bał się. Cóż chcecie? Zaczął iść znowu ze zgiętymi plecyma i schyloną twarzą. Oddech jego tylko stał się głośniejszym i więcej ochryplym niż wprzód; kilka razy zakaszłał i splunął. Karciciel jego tuż za nim postępował. Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

– Na prawo, marsz! – donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się cicho i ochryple.

– Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!

– Będziesz ty mi winszował, jak ci tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!

– Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszłał i na chwilę przystanął.

– No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ściśniętą pięść podniósł nad zgiętymi plecyma Żyda; nie uderzył go jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie.

– Och, och, och!

W folwarku Ignacego Korejby, dom mieszkalny niewielki, szary, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej mieściła się czeladź wraz z ptactwem domowym, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono. W izbie czeladnej, przy wielkim ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubasne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach. Z drugiej strony sieni, izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświecał także ogień, palący się jednak nie w wielkim piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku, jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stołki, na zalegające kąt izby wielkie krosna tkackie i przez drzwi otwarte, zaglądnąc do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów, wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobiałek, motków i także świętych obrazków. Izba tamta służyła widocznie za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię a poczęści także i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadransem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami swymi napełniał wozy zżętym jęczmieniem i teraz z powodu gorąca surduta z siebie zdjawszy, w płóciennej kamizelce po wierzch koszuli siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki. Niski był, krępy, z szerokimi plecyma, twarzą okrągłą, jak księżyc w pełni i głową zjezoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku jego, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały, lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa nakazywanych sobie niedostatków i przecierpianych utrapień. Wszystko to przecież nie przeszkadzało temu, że teraz, z całej postaci tego zaściankowego szlachcica biły niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała wyrazem rubasnej wesołości i szczerzego zadowolenia z siebie i wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole, wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, wysoki, muskularny, na długich nogach, z twarzą długą i ciemną, przebiegłymi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi usty. Miał on na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyję. Wiadomo było wszystkim, że był bardzo dumnym, drwiącym ze wszystkich, a podobno też i zręcznym człowiekiem. Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do płotu przywiązał i wstąpił do Korejebów na pogadankę sąsiedzka i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Jednak z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłymi oczyma zerkał na młodziutką Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała. Ten jednak nie był jej snąc miłym. Niewysoka i jeszcze niedorośla dziewczynka, w perkalowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej jej szyi, stała w pobliżu ognia i profilem do konkurenta zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina. Odblask ognia złocił jej twarz, przypominającą okrągłe, rumiane jabłuszka, przeglądał się w siwych źrenicach i rozżarzał czerwoność wstążeczki, opasującej

jej włosy koloru złota, luźnie na plecy spuszczone. W tym odblasku, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyzn, stała matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem tak samo, jak u jej męża zmarszczonem i tak samo grubemi rękami, nie tak przecież jak on silna i zdrowa, owszem, może trochę chora, może zahukana, gapowata, wciąż usta otwierająca. Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła, pielęgnowała i grzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo: ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szorstkiej powierzchni komina wodząca i dwaj synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba. Miał on ciężkie swoje zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej **lgoty** (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w **sołdaty**. Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak i wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejba zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła. Zaś ekonom z Szumnej, teścia swego *in spe* z przymileniem zapytał:

– No – a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Na okrągłą i czerwoną twarz Korejby, jakby promień słońca spłynął.

– Janek – panie, dobrodzieju! oho! i on pójdzie, pewnie pójdzie... tylko, że nie na sołdata, ale na adwokata... cha, cha, cha! Zdolna błaznota, że niech Pan Bóg broni i do książek, jak Żyd do biblii! „Ja tatku, powiada, jak szkoły skończę, do uniwersytetu pojedę!” „Jedź synku, mówię, ucz się, królem będziesz”. A on: „Nie królem tatku, ale adwokatem!” Niechaj będzie i tak! Niechaj choć jeden Korejba na ludzi wyjdzie. Chwała Bogu! stać mi teraz na edukacją syna... Stefek jej nie dostał, co robić? Inne czasy były. Zato, jeżeli szczęśliwie służbę wojskową skończy, więcej ziemi dostanie... po sprawiedliwości... ja żadnego z moich dzieci krzywdzić nie chcę i wszystkie troje równiuteńko obdzielę... równiuteńko... a mnie i dziewczyna to także rodzone dziecko, a jakże! tyle będzie miała, co i bracia... ot.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.